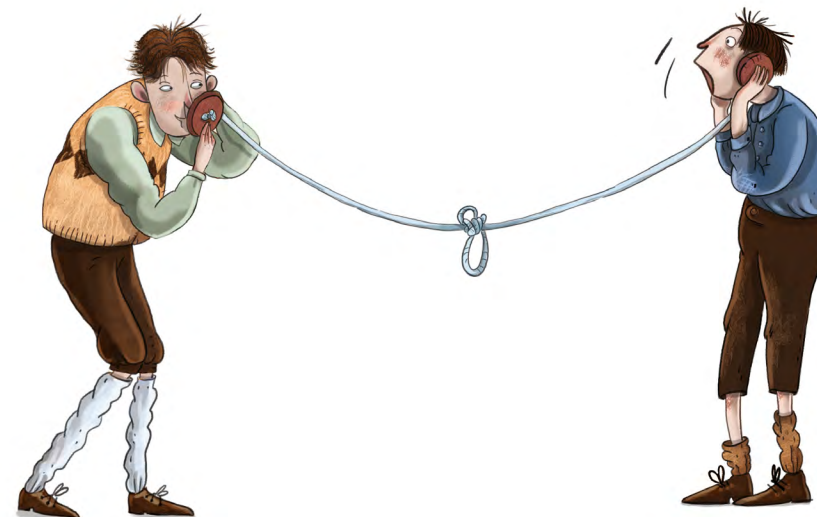


Podwórkowe zabawy dzikusów



Mieliśmy w domu całe mnóstwo książek. Jedna biblioteczka należała tylko do mnie i Julka, który poukładał wszystkie tomy w porządku alfabetycznym według autorów, a na grzbiecie każdego woluminu przyczepił białą karteczkę z koślawym numerem.

– *Robinson szwajcarski* – Julek dotykał kolejnych książek palcem i czytał tytuły: – *Młody wygnaniec*, *Ogniem i mieczem*, *Qvo vadis*, *Historia biednego chłopca w pięciu częściach świata*, *Wspomnienia niebieskiego mundurka*, *Ryszard Lwie Serce*, *Sherlock Holmes*... Wszystko już przeczytałem.

Rzeczywiście, mój brat po prostu pożerał książki. Siedział gdzieś w kącie całymi godzinami, nieobecny, nieprzytomny, zatopiony w świecie fikcji. Potem opowiadał

o Paryżu. A ja muszę organizować czas dzieciom, co w taką pogodę w Łodzi nie jest łatwe! – poskarżyła się mama.

I wybuchła domowa awantura. Siedzieliśmy z Julkiem w pokoju i podsłuchiwalimy, jak rodzice się kłóca.

– Myślisz, że mama odejdzie od taty? – zapytałam ze strachem.

– A co by bez niego robiła? I gdzie? – odparł trzeźwo mój brat.

Wynikiem kłótni, niestety, nie był wakacyjny wyjazd. Ale następnego dnia wybraliśmy się z mamą do Helenowa. Jechaliśmy tramwajem przez opustoszałe miasto do najprawdziwszego gaju zieleni, zaczarowanego ogrodu w środku Łodzi.

A tam – grała orkiestra, w klatkach siedziały małpy i niedźwiedzie, była strzelnica i restauracja. Julek szalał. Tańczył w takt walczyków, a gdy muzycy poszli na przerwę, włożył na podwyższenie dla dyrygenta i machał kijkiem ku uciechu zebranych. Potem pobiegł do strzelnicy i strzelał, gdzie popadło – najchętniej do drewnianego mandaryna, który kiwał głową, i Włocha, który przewracał oczami i grał na gitarze.

Mama, siedząca spokojnie na ławeczce, nie mogła za nim nadażyć i wciąż się martwiła, że go straci z oczu. Wreszcie naprawdę okazało się, że nigdzie nie ma Julka.

– Gdzie on się podział, huncwot jeden?! – Mama najpierw się denerwowała, ale gdy Julka już bardzo długo nie



Perfumy i węże



Julek miał następnego bzika, a właściwie kilka naraz. Od czasu naszej wyprawy do Inowłódza, gdy zachwyił się przyrodą, myślał tylko o tym, żeby zostać zielarzem, wytwórcą perfum i poskramiaczem węży. Zbierał zioła lekarskie – miętę, dziewannę, rutę, macierzankę i co jeszcze popadło. Suszył je i układał w lnianych woreczkach. Nie kupował już w sklepie pana Thorna siarki i saletry, tylko olejki: różany, jaśminowy, goździkowy i octy aromatyczne, w których gotował skórki cytryny, wanilię i liście bobkowe. Mieszał to, doprawiał różnościami, przelewał do buteleczek i trzymał w naszym pokoju.

– Będiesz pachnieć jak córka arabskiego szejka – mówił, przynosząc mi kolejne flakoniki wypełnione aromatami własnej produkcji.

Całkiem lubiłam tego Julkowego „bzika perfumeryjnego”. Gorzej było z węzami.

Okaz przywieziony z wakacji w Inowłódzu mój brat umieścił w pudełku, z którego zrobił terrarium wyłożone kamieniami, mchem i trawą. Kilka razy dziennie wyjmował węża i zawijał go sobie wokół szyi.

– Fuj! To obrzydliwe! – krzywiła się mama i kazała mojemu bratu „natychmiast chować to paskudztwo”. Julek z niewinną miną szedł do pokoju i zamykał się tam z wężem, do którego czule przemawiał, głaszcząc go po śliskim ciele.

– Irka, nie uwierzysz, co się stało! – przybiegł do mnie któregoś dnia. – Mój wąż zniósł jajka!

Rzeczywiście, w terrarium Julka obok węża leżało kilka jajek.

– Wyrzuć to! – krzyknęłam przerażona.

– No wiesz! – oburzył się mój brat. – Tam są niewinne dzieci.

Jakiś czas później z jajek wykluły się małe węże, które rozlały się po całym mieszkaniu.

– A kysz! – wołała Antosia, wypędzając gady spod łóżek i szaf.

– Koniec z tym – zarządziła mama. – Chyba już wolałam twoje chemiczne szaleństwa – westchnęła i złapała się za głowę.